

Tadeusz Boy-Żeleński: Brązownicy

W dyskusji raz po raz pojawiało się pytanie: czy wielki pisarz — w szczególności Mickiewicz — ma zostać dla nas „posągiem z brązu”. Wynika stąd dla mnie jedna oczywistość: mianowicie, że krytyk czy historyk literatury powinien by w takim razie odbyć praktykę brązowniczą; w przeciwnym razie i w tym brązie będzie fuszerował — pisał Tadeusz Boy-Żeleński. Przypominamy fragmenty tekstu na łamach „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Boy. Kultura na bieżąco”.

Dałem tym wstępnym rozważaniom tytuł *Brązownicy*, ponieważ w dyskusji, która stała się ich pobudką, raz po raz pojawiało się pytanie — rozstrzygane zazwyczaj w sensie twierdzącym: czy wielki pisarz — w szczególności Mickiewicz — ma zostać dla nas „posągiem z brązu”. Wynika stąd dla mnie jedna oczywistość: mianowicie, że krytyk czy historyk literatury powinien by w takim razie odbyć praktykę brązowniczą; w przeciwnym razie i w tym brązie będzie fuszerował. Brązowa ta dyskusja urodziła się z mojej książki pt. *Ludzie żywi*, przede wszystkim zaś z artykułiku *Mickiewicz a my*, będącego przedmową do dzieł Mickiewicza w wydaniu Biblioteki Arcydzieł Literatury.

**Bez wsparcia ludzi takich jak Ty, nie mógłbyś czytać tego
artykułu.**

Prosimy, kliknij tutaj i przekaz darowiznę w dowolnej wysokości.

Pragnę rozważyć niektóre punkty tej dyskusji; w tym celu wydaje mi się bardziej taktyczne nie zaczynać od Mickiewicza. Mickiewicz, to rzecz skomplikowana i wielka; zacznijmy od prostszej i skromniejszej. W toku tej dyskusji padło kilka razy — również z powodu mego artykułu — imię Narcyzy Żmichowskiej; otóż sprawa Żmichowskiej ma tutaj tę zaletę, że posiada niejako — z przyczyn, które zaraz objaśnię — wartość eksperymentu. Mówmy tedy o Narcyzce; tym bardziej, że na jej temat sformułował pod moim adresem p. Henryk Bezmaski bardzo konkretne zarzuty w odpowiedzi na artykuł Karola Irzykowskiego (*Naprzód*) pt. *Odełgiwanie literatury*. Odtrącając z lekceważeniem moją próbę ożywienia głęboko zapomnianej pisarki, p. Bezmaski pisze:

Dla czytelnika polskiego była i jest, i da Bóg, że długo jeszcze będzie wielką poetką i obywatelką. W jakim stanie znajdował się jej system nerwowo-seksualny, co to kogo obchodzi poza jej najbliższym otoczeniem? Może to być przedmiotem sensacji, awantury literackiej, na której ten czy ów wydawca może zarobić. Wartości literackiej nie ma to żadnej.

Mogę się tylko cieszyć, że w piśmie tak często pomawianym o bezbożność, jak „Robotnik”, załatwia p. Bezmaski sprawę owym cnotliwym i staropolskim „da Bóg”; gdyby jednak uważniej czytał mój artykuł o Żmichowskiej, dowiedziałby się z niego, że właśnie zupełne zapomnienie „poetki i obywatelki”, dla której ja wyniosłem z domu osobliwy kult, było przyczyną mego zajęcia się jej osobą. I oto pozwolę sobie przedstawić rezultat, mający, jak rzekłem, charakter wręcz eksperymentalny: w parę tygodni po moim artykuliku otrzymałem propozycję napisania przedmów do trzech utworów Żmichowskiej, które księgarze skłonni byli wydać: przy dwóch położono moją

przedmowę jako warunek podjęcia wydania. *Czy to powieść?* i *Biała róża* już się ukazały, *Poganka* ukaże się niebawem; wydanie nieznanych listów pisarki jest w toku. Przedtem mimo obchodów, rocznic ani jednego tomu jej pism nie było w księgarniach. Zapewne, „wydawca może zarobić”, jak z lekceważeniem pisze pan senator; ale to już jest, wyznaję, oryginalny sposób patrzenia na literaturę, przy którym istnienie dzieł na rynku księgarskim — a tym samym w rękach publiczności — jest rzeczą uboczną, rzeczą, o której mówi się z taką wzgardą! Pan Bezmaski lekceważy tak nietrwałą rzecz jak papier, jest zdecydowanym brązownikiem; ale brąz ma tę właściwość, że jest bardzo niewygodny do czytania. Celebrowano koło Żmichowskiej pół wieku bez skutku; wystarczyło przemówić ludzkim głosem, aby ją zbudzić do życia. Niechże więc pan senator zastanowi się trochę: skoro odsądza moje poczynania od „wszelkiej wartości literackiej”, niech im przyzna wartość choć praktyczną i niech powie sumiennie: kto lepiej służy sprawie pisarzy, czy ten, który im daje nowe życie i odnawia ich przymierze z czytelnikami, czy ten, kto bezmyślnie macha kadzielnicą przed starym, zakurzonym posążkiem?

*

To tradycyjalistyczne wystąpienie patriarchy socjalizmu dowodzi, jak głęboko wżarł się nam w krew zbożny frazes. Faktem jest, że czy to wskutek naszych narodowych właściwości, czy bardziej jeszcze wskutek wiekowego pijarsko-jezuickiego wychowania, czy wskutek tragicznego zagmatwania naszych kolei dziejowych, stosunek nasz do naszych pisarzy stał się odmienny niż gdzie indziej. Wszystko pod kątem krzepienia serc, zbudowania narodu, młodzieży... Socjaliści odziedziczyli to po „konserwie”. I szczęście to prawdziwe dla nas, że los dał nam pisarzy dosyć bogobojnych; inaczej nie nastarczylibyśmy z

*I ileż straciłaby jego
słynna Ballada wisielców,
gdybyśmy nie wiedzieli, że
była napisana przez
storturowanego na śledztwie
poetę niemal u stóp
szubienicy, która go cudem
ominęła.*

załgiewaniem.

Niedawno odezwały
się głosy, że czas
skończyć z legendą,
jakoby
Przybyszewski pijał
kiedy wódkę! Cóż za
szczęście, że nas
Opatrzność nie
pokarała takim poetą
jak Villon! Świeżo
miałem w ręku nową
literaturę

Villonowską: *La psychose de Villon* itd. Czy był degeneratem, czy tylko
zwykłym opryszkiem — oto pytania, jakie padają dokoła jednego z
największych poetów Francji. I ileż straciłaby jego słynna *Ballada
wisielców*, gdybyśmy nie wiedzieli, że była napisana przez
storturowanego na śledztwie poetę niemal u stóp szubienicy, która go
cudem ominęła. Ponure życie Villona — to integralna część jego poezji.

Nie mamy — na szczęście czy na nieszczęście, — takich kłopotów.
Mówię: „na nieszczęście”, bo nie miałbym nic przeciw temu, gdyby
„Hipek Wariat”, skoro już musi być bandytą, wydał w czasie urlopu
wspaniałą tom wierszy. Mamy w literaturze na ogół bardzo zacnych
ludzi. Możemy zgłębiać ich życie z podziwem, z uwielbieniem, w
każdym zaś razie z usprawiedliwioną i żywą ciekawością. Jeżeli nauka
bada wydzielanie gruczołów trawiennych u pchły, jakże można
zabronić ludziom, aby się interesowali wszystkim, co oświetla życie
psychiczne ich geniuszów? Czy to geniuszom coś ujmuje? Przenigdy.
Nigdy nie było tak silnego pędu jak dziś do poznawania życia wielkich
ludzi. Zrozumiano, że te żywoty to najciekawsza powieść,

najwspanialszy dramat — dramat ducha — ale na to trzeba dotrzeć do istoty tego dramatu, nie zaś przyrządzać z niego dydaktyczne *Wieczory pod lipą*. Wszystko to są rzeczy gdzie indziej tak dawno rozstrzygnięte, że nie ma o nich dyskusji.

Ale i u nas, cóż za osobliwa sprzeczność, cóż za paradoksy! Umiera wielki pisarz: wydaje się jego listy. Przez pietyzm. Ale cytować te listy, opierać się na nich, jest zbrodnią: kto żyw podnosi krzyk: „Niech zostanie z brązu!”. Po kiegoż tedy licha wydawać te listy, skoro do nich nie wolno zaglądać? Wszak te stany „systemu nerwowo-seksualnego” Narcyzy, które — powiada pan senator — nikogo nie obchodzą, wyjęte są z jej listów. Idźmy dalej: są listy, gdzie jeden pisarz mówi o drugim. Znów — zdaje się — nie wolno cytować. Bo, ostatecznie, co ja uczyniłem, żem narobił tyle skandalu? Czym wynalazł jakieś nieznanne a podejrzane dokumenty? Ależ nie! Cytowałem po prostu ustępy z listów, wydanych przez... pietyzm dla wielkich pisarzy.

Ja sędzę, że trzeba właśnie o tych rzeczach mówić, że trzeba je oświetlać. Bo inaczej, cóż pomyśli nieprzygotowany czytelnik, gdy przeczyta dytyrambiczny żywot Mickiewicza, niemniej dytyrambiczny żywot Krasińskiego, a potem to, co jeden z nich mówi o drugim? Właśnie zadaniem historii literatury jest dyskutować, wyjaśniać, godzić sprzeczności, a nie wstydliwie ignorować to, co jest własnością publiczną.

Nie tykać poufnych szczegółów życia, powiada p. Lorentowicz, ale wgłębiać się w samo dzieło. Ale właśnie dla poznania tych poufnych szczegółów życia — jako nieoceniony komentarz do dzieła — wydaje się

listy wielkich ludzi. Załóżcie panowie protest przeciw ich wydawaniu: ale nie, wydajecie je sami i poczytujecie to sobie za zasługę; a krzyczycie, kiedy ktoś robi właściwy użytek z waszej pracy.

Nie tykać szczegółów życia! Czy to żarty? Ależ od dziecka wbijano nam je w mózg, życiorysy wielkich ludzi stanowią w szkole połowę nauki literatury. Pół roku kułem drobiazgowy żywot Mickiewicza! Co najwyżej tedy chodziłoby o to, aby powtarzać i przeżuwać wciąż te same uświęcone bajeczki, nie próbując ich oświecić na nowo.

*

Bardziej tolerancyjne stanowisko zajął p. Zdzisław Dębicki. Nie ma nic przeciw moim „wątpliwościom, rozciekawieniom i niepokojom”, ale uważa, że niewłaściwym dla nich terenem jest przedmowa do dzieł poety. „W przedmowie takiej (pisze) powinien on stać raczej jak posąg z brązu, po dawnemu”.

Po dawnemu; ale po jakiemu dawnemu? Bo ja sam pamiętam już tych dawności kilka. I posąg z brązu, ale jaki? Bo też było ich już więcej. Znany jest (prywatnie) historykom literatury fakt, że Stanisław Tarnowski, będąc w Paryżu, zaklinał Władysława Mickiewicza, aby zniszczył wszystkie dokumenty działalności ojca z epoki „Trybuny Ludów”. Dla Tarnowskiego były to dokumenty hańby; chodziło mu o to, aby Mickiewicz pozostał „po dawnemu jako posąg z brązu”. W imię tej samej zasady p. Adam Krzyżanowski protestował przeciw „wygrzebywaniu” zapomnianych pism poety. Ileż zresztą z pewnością niszczono dokumentów w imię tej zasady! Znam list, w którym ktoś

*Pamiętam czas, gdy socjaliści
w Krakowie składali u stóp
pomnika pierwsze wieńce;
inni uważali to za
błźnierstwo, wówczas
właśnie żądano niszczenia
dokumentów pozwalających
pomówić Mickiewicza o
socjalizm.*

odmawia
Władysławowi
Mickiewiczowi
powierzenia
dokumentów,
zarzucając mu ich
fałszowanie. Przez
pietyzm oczywiście.
Ale co znaczy to
słowo? Pamiętam
czas, gdy socjaliści w
Krakowie składali u
stóp pomnika
pierwsze wieńce;

inni uważali to za błźnierstwo, wówczas właśnie żądano niszczenia dokumentów pozwalających pomówić Mickiewicza o socjalizm. Było to kalaniem posągu z brązu. Sądzę tedy, że każdy fabrykował sobie ten posąg z troszkę odmiennego brązu. I jeżeli nawet staniemy na stanowisku brązowniczym, możemy przyjąć, że od czasu do czasu posąg z brązu ulega przelaniu. Przypuśćmy, że obecnie jesteśmy w fazie takiego przelewania posągu.

Ciekawe jest, że gdy tylu mniej lub więcej młodych zajęło stanowisko obrony tradycji (jakiej?), całkowicie po mojej stronie stanął sędziwy Czesław Jankowski. Głos jego jest tym bardziej dla mnie cenny, że wyszedł z samego serca drażliwego kultu Mickiewicza, z serca Litwy, z Wilna, z ust człowieka, który z pewnością nie mniej od innych kocha Mickiewicza „po dawnemu”. Otóż pisarz ten, który lekko dźwiga siedem z górą krzyżyków na bankach, zaznaczywszy z góry, że „nie ma nad

Boya-Żeleńskiego większego wielbiciela Mickiewicza”, osądziwszy łaskawie, że ta przedmowa jest to „trzydzieści kilka stron najświetniejszych, jakie Boy napisał”, mówi:

Zaś panowie i panie... przyglądający się — dziś — owemu ciągnącemu ku narodowemu pomnikowi Mickiewicza pochodowi z busolami, sondami, nieoglądanymi dotąd nigdy narzędziami, proszeni są o nierozdzieranie szat i zachowywanie możliwie najheroicznego spokoju. Żadna krzywda, dalibóg, nie stanie się Mickiewiczowi. A wyładowanie krytyczno-analitycznej energii pokolenia poromantycznego, porozbiorowego, nastąpić musi.

Jest to jakby wiekuiste prawo natury, którego jeszcze nie potrafił złamać żaden z największych nawet nadludzi.

Oto ideowa kwintesencja mistrzowskiego *essai* Boya-Żeleńskiego o Mickiewicz. Z solidnego jest dębu, z głębokiej znajomości Mickiewiczowskiego dzieła i żywota — tylko mieni się tu i ówdzie opalowo, jakby był gdzieś, dyskretnie i sugestywnie inkrustowany śmiałym, pełnym niespodzianek, a może kogo irytującym modernizmem.

Tak, wyobrazić sobie możemy, będzie wyglądał — może już względnie niebawem — Mickiewicz w rozumieniu i kulcie powojennego naszego pokolenia. Nie „przewartościowany”, broń Boże, lecz przeciwnie, przez śmiałą „rewizję” na nowe dziesiątki lat odrodzony...

Niech mi czytelnicy darują, że pozwalam sobie przytoczyć tutaj te tak pochlebne i zaszczytne dla mnie słowa. Ale przyznam się szczerze, że po kubłach obelg, fałszów i perfidii, jakimi mnie tu i ówdzie ochlapano, przyjemnie mi jest opłukać się trochę w tych uczciwych i przyjaznych słowach starego Litwina.

*

Wróćmy do naszego brązu. Ależ, aby zbrązować tak żywego człowieka jak Mickiewicz, trzeba by jak kalif Omar spalić wszystkie biblioteki, zostawić same posągi. Nie tylko jego własne listy, ale listy, pamiętniki współczesnych. Wziąłem przypadkiem do rąk w tych dniach pamiętniki Michała Budzyńskiego, powstańca z r. 1830, tułacza, przyjaciela całej emigracji. Wydał te pamiętniki Józef Ignacy Kraszewski: podnosi w swoim słowie wstępnym wartość tych zwierzeń człowieka „głębokiego przekonania, sumienności rzadkiej, dobrej wiary nienaruszonej”. Pamiętniki jego (pisze) mają tę „cechę szczerości, uczciwości, rzetelności, która im wielkiej ceny dodaje”. Otóż w pamiętnikach tych czytam następującą relację z epoki towianizmu (I, 289):

Podzielili się ci nowi wyznawcy na koła i odprawiały się sesje pełne mistycyzmu, gdzie bracia opowiadali sobie sny i widzenia. Na jednej z takich sesyj Mickiewicz zawołał: „Bracia! Dziś ukazał mi się duch Aleksandra I, cesarza Rosji, i prosił, aby bracia zanieśli modły do Boga na jego intencją”. Juliusz S., antagonistą Mickiewicza, i w którym odezwała się żyłka polska, podnosi głos po mistrzu: „A mnie, bracia, ukazał się duch Stefana Batorego i prosił, abym przestrzegł, iżby bracia za

żadnym nie modlili się Moskalem!” Mickiewicz na to porywa silnie za ramię Juliusza Słowackiego, przywodzi do drzwi i wypędza go słowami: „Paszoł won durak!”.

Wyobraźmy sobie czytelnika, nawykłego patrzeć na Mickiewicza „po dawnemu” jako na „posąg z brązu”, gdy znajdzie ten ustęp w pamiętnikach „rzetelnego człowieka” — W głowie mu się pomiesza! I zdaje mi się, że nie przez pomijanie, eliminowanie faktu, czy — jak się wzgardliwie powiada — „anegdoty”, dojdzie się do pełnego wizerunku poety, ale przez ogarnięcie, zrozumienie i stopienie wszystkiego. Dla mnie właśnie te tragiczne nieporozumienia, te walki, te błędzenia po omacku, w rozpacznych mrokach, te najświętsze pragnienia wyradzające się dziwacznie, te tragiczne upiory emigracji, to są bodajże najciekawsze karty życia naszych poetów.

*Aby wywyższyć — i osłonić —
Mickiewicza, stworzono ów
obraz Słowackiego jako
małego, zarozumiałego i
zawistnego rywala, niejako
negatyw Mickiewicza, satelitę
jego geniuszu.*

I jeszcze jedno. Czy wam się nie ściska serce, gdy czytacie ten opis, podany bez żadnej animozji, z zupełną prostotą, jak Mickiewicz wypycha za drzwi biednego Juliusza z rosyjskim wyzwiskiem na

ustach? Mnie tak. Bo zważmy jedno: los tak spletał dzieje duchowe Mickiewicza i Słowackiego, że odlewanie olimpijskiego posągu jednego z nich odbywało się kosztem drugiego. Już za życia Mickiewicz zaciążył na Słowackim, można powiedzieć, całą wagą brązu; zaciążył też na nim i po śmierci. Aby wywyższyć — i osłonić — Mickiewicza, stworzono ów

obraz Słowackiego jako małego, zarozumiałego i zawistnego rywala, niejako negatyw Mickiewicza, satelitę jego geniuszu. Taki wizerunek długo pokutował; i dziś jeszcze coś z niego straszy czasami. Tak więc w aliaż posągu Mickiewicza weszło dużo fałszu i cudzej krzywdy: krzywdy pisarza, który dziś też upomina się o... posąg z brązu. Czy nie łatwiejsza byłaby ta sprawa do rozjaśnienia, gdyby się obu brało jako żywych ludzi – ludzi oczywiście natchnieniem swoim przerastających świat zwykłych istot – jako dwóch, dajmy na to, półbogów, tylko, przez litość, nie brązowych bożków? [...]

*

Z nieoczekiwanej strony przybył tej akcji mimowolny sukurs. Wyruszył w „Pamiętniku Warszawskim” p. Lechoń. Świetny poeta, przy tym autor *Rzeczypospolitej Babińskiej*, *Szopki* i redaktor „Cyrulika”, okazał się na nowym terenie zdecydowanym brązownikiem. W zapale swoim posunął się tak daleko w swobodzie streszczeń mojego tekstu, że musiałem przesłać do „Pamiętnika” pismo protestujące przeciw podsuwaniu mi podobnych zdań jak np. „Boy przedstawia to niepójście do wojska jako upadek Mickiewicza” itp. Skąd p. Lechoń to wzięł? – chyba z „Głosu Narodu”, bo ja takich nonsensów nigdzie nie pisałem.

Oryginalny w istocie jest ten cały Mickiewiczowski „zajazd”! Na progu naszego nowego życia, gdy, zdawałoby się, możemy się wyzwolić z powijaków dydaktyki narodowej i zacząć patrzeć po literacku na sprawy literatury, rozlega się chór: „Nie tykać posągu z brązu!”. I w tym brązowym polonezie łączą się fantazyjne pary: pan Lechoń z panem Lorentowiczem (świetna rycina do „Cyrulika”: pan Lorentowicz jako Podkomorzy, pan Lechoń jako Zosia), senator Posner z panią Heleną

Romer... Coś w tej zgodnej harmonii nie jest w porządku; trzeba nam będzie jeszcze powrócić do tego przedmiotu. Ale na razie muszę ochłonić po zamęcie, jaki mam w głowie po przeczytaniu rozmaitych sądów: gdy np. Irzykowski uważa, że przedmowa moja jest „za mądra, za rewolucyjna”, p. Kołaczkowski orzeka, że jest „wywalaniem otwartych drzwi”. Czy jest za mądra, nie moją rzeczą sądzić; ale z krzyku, jaki się koło tych „drzwi” uczynił, nie zdaje mi się, aby były tak bardzo otwarte...

Tadeusz Boy-Żeleński



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego